

[TOP1 w 2025] Richelieu, ojciec współczesnej Francji? Rozmowa z Marcinem Giełzakiem

Richelieu wykreował warunki, dzięki którym jego następcy mogli sprowadzić Niemcy do rangi francuskiego protektoratu. Nawet król Anglii został sprowadzony do roli francuskiego jurgieltnika, a francuscy Burbonowie sięgnęli po korony hiszpańskie i włoskie. To będą czasy, kiedy motto europejskich dworów brzmi: „każdy dla siebie, ale wszyscy przeciw Francji” – mówi Marcin Giełzak w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Richelieu. Ontologia(e) państwa nowożytnego”.

Ignacy Karłowicz: Kardynał Richelieu to – również współcześnie – postać rozpoznawalna, wręcz emblematycznie ważna dla kultury politycznej Francji i kultury francuskiej *tout court*. Dlaczego? Jak to się stało, że siedemnastowieczny polityk ma taki wpływ na współczesność?

Marcin Giełzak: Kardynał Richelieu zrobił więcej niż ktokolwiek, aby uczynić „długi wiek XVII” – jak czasem nazywa się umownie okres między rokiem 1610 a 1723, czyli między panowaniem Ludwika XIII a Regencją – stuleciem Francji. Oczywiście, sukces zawsze ma wielu ojców, więc trzeba byłoby natychmiast dorzucić do tej listy innych zasłużonych; przede wszystkim mężów stanu takich jak kardynał Mazarin, wielkich wodzów jak Turenusz, administratorów jak Colbert, artystów jak Molière, filozofów jak Kartezjusz. Nie sposób też uznać, że symbolem tego *grand siècle'u* może być ktokolwiek inny niż Król-

Słońce, Ludwik XIV. Ale to Richelieu przygotował grunt pod absolutną dominację polityczną, wojskową, kulturową Francji na kontynencie europejskim. Żeby oblec to w konkret: to on był inicjatorem powołania Akademii Francuskiej i wielkiego państwowego dzieła wielkiego państwowego mecenatu nad sztuką i wiedzą. To on był ojcem potężnej francuskiej marynarki wojennej, o której mówiono: „posłuszna Słońcu, rozkazuje falom” – „Słońcu”, czytaj oczywiście: „królowi”. Bez tego trudno byłoby sobie wyobrazić późniejsze imperium kolonialne Francji. To w tej epoce Francuzi kładą rękę na obszarach od Antyli po Senegal, od Quebecu po Gujanę. W przyszłości to imperium obejmie kraje tak odległe i różnorodne jak Maroko, Syrię, Wietnam czy Madagaskar. Pierwszym wielkim admirałem marynarki zostanie krewniak kardynała, markiz de Brézé, a dzięki serii zwycięstw pod jego dowództwem Francja skutecznie zapanuje nad zachodnim Śródziemnomorzem, które stanie się niemal francuskim jeziorem.

Richelieu był w tym wszystkim jak Mojżesz, który prowadził naród wybrany do Ziemi Świętej, ale sam w niej nie zamieszkał. To on wykreował warunki, dzięki którym jego następcy mogli sprowadzić Niemcy do rangi francuskiego protektoratu – król Francji był gwarantem swobód i wolności niemieckich książąt; z historii Polski znamy takich gwarantów. Nawet król Anglii został sprowadzony do roli francuskiego jurgieltnika, a francuscy Burbonowie sięgnęli po korony hiszpańskie i włoskie. To będą czasy, kiedy motto europejskich dworów brzmi: „każdy dla siebie, ale wszyscy przeciw Francji”, a francuską odpowiedzią będzie „nec pluribus impar” – fraza właściwie nieprzetłumaczalna; minister Ludwika XIV Louvois interpretował ją „sam przeciw wszystkim”, chociaż może słuszniej byłoby „sam ponad wszystkimi”.

Mówiliśmy dotąd o polityce zagranicznej. Czy w polityce wewnętrznej jego wpływ był równie silny?

Ba! Richelieu był po prostu jednym z ojców nowoczesnego francuskiego narodu. To on złamał potęgę feudałów i zniszczył separatyzm hugenotów. To wręcz za słabo powiedziane – hugenoci tworzyli wówczas państwo w państwie, które Richelieu po prostu podbił. Stał się uosobieniem pojęcia racji stanu. Nawiasem mówiąc, z tego powodu często przypisuje się wymyślenie tego pojęcia właśnie jemu, ale to akurat nie jest prawda: wymyślił je Włoch Giovanni Botero, autor bardzo poczytnej, również we Francji, pracy *Della Ragion di Stato*. Niemniej Richelieu faktycznie pozostawił po sobie maksymy, które doskonale tłumaczą, na czym polega polityka w jego wydaniu – i które zachowały aktualność do dzisiaj. Zacytujmy kilka: „polityka polega na tym, aby czynić konieczne możliwym”. Albo „Boże, strzeż mnie od przyjaciół, z wrogami poradzę sobie sam”. Czy wreszcie niesławne: „dajcie mi dwie linijki napisane przez najuczciwszego z ludzi, a znajdę w nich pretekst, aby go powiesić”. Nie bez powodu Richelieu był traktowany za wzór przez wielu polityków, także współczesnych, takich jak Charles de Gaulle czy Henry Kissinger.

Ten model polityki wymaga jednak osobistej odpowiedzialności i silnej jednostki u steru. Co, gdy jej zabraknie?

Oczywiście, dlatego też cena tych sukcesów była później tak wysoka. Pogoń za chwałą oznaczała nieustanne wojny. W epoce *grand siècle'u* powstał ideał, do którego będą aspirować kolejni królowie, którzy ostatecznie zrujnują kraj, pauperyzując lud i bankrutując państwo.

Model monarchii wojennej, króla w siodle, był na dłuższą metę nie do utrzymania. O ironio, starą monarchię zgubiła jednak nie przegrana, ale zwycięska wojna z Anglią o niepodległość Ameryki. Ponadto, kardynał Richelieu wpajał Francuzom nie tyle posłuszeństwo wobec władzy, ile jej kult. Uczył ich statolatrii. Nie bez powodu mówiono, że król Francji ma więcej wspólnego z królem Asyrii niż królem Anglii. Gdy Ludwikowi XIV –po śmierci kardynała, ale jeszcze za życia króla – zbudowano pomnik, dragoni mieli się jakoby przyglądać temu, czy przechodzący obok niego przechodnie się kłaniają. Sakralizacji osoby króla przeszła zaś płynnie w sakralizację państwa. Wszystko na granicy, albo już poza nią, *quasi*-pogańskiego kultu solarnego, jakby francuskiego sintoizmu. Mistyczka Simone Weil wprost nazywała kardynała Richelieu poganinem, bo jej zdaniem zaprowadził on we Francji kult państwa francuskiego. Republikanie później wszystko to przejęli i wyostrzyli. Różne ekscesy rewolucji są również w jakiejś mierze konsekwencją rządów kardynała Richelieu. Ale gdy polityk republikański, liberalno-lewicowy Jules Ferry mówi, że we Francji jedyną wiarą ma być patriotyzm, a jedyną boginią ma być Ojczyzna – to przecież równie dobrze mogą być słowa Richelieu. Oczywiście różnica jest taka, że jako kardynał nie powiedziałby tego nigdy publicznie.

Przeczytaj również: Agnieszka Nogal – Filozoficzno-polityczna idea narodu

Jak dzisiaj ma się dziedzictwo kardynała? Czy wciąż kształtuje ono doktrynę państwową Republiki?

Zdecydowanie tak, zarówno jeśli chodzi o francuską politykę wewnętrzną, jak i zagraniczną. Jeżeli chodzi o tę ostatnią, to można powiedzieć, ryzykując pewne uproszczenie, że Francja ma niemal oficjalną doktrynę państwową na odcinku polityki międzynarodowej.

Tę doktrynę czasem określa się – za francuskim ministrem, geopolitykiem, praktykiem i teoretykiem relacji międzynarodowych Hubertem Védriem – gaullo-mitterandyzmem. Oczywiście od nazwisk Charles’a de Gaulle’a i François Mitteranda, dla podkreślenia jej ponadpartyjnego charakteru. Byli to wszak ludzie z przeciwnych obozów politycznych. Niemniej, jest ona niczym innym, jak współczesnym wydaniem polityki Kapetyngów, której najdoskonalszym praktykiem był kardynał Richelieu.

Jak można ją najkrócej scharakteryzować?

Po pierwsze: polityka zagraniczna, wykracza poza krajowy podział polityczny. Polityce zagranicznej dyktuje posunięcia racja stanu i interes narodowy, a nie żadna inna konsyderacja. Nie ma polityki katolickiej czy protestanckiej, prawicowej czy lewicowej. Polityka musi być państwowa. Z tym wiąże się oczywiście fakt, że musi być wolna od ideologii. Interes narodowy jest jedyną miarą. Dlaczego Francja rządzona przez kardynała Kościoła rzymskokatolickiego interweniuje w wojnie trzydziestoletniej po stronie protestantów? Bo w interesie narodowym Francji jest uderzyć Habsburgów. Dlaczego Francja, rządzona przez pryncypialnego antykomunistę Charles de Gaulle'a, zabiega o otwarcie Chin? Socjalista Mitterand, i to bynajmniej nie socjalista bezobjawowy, który przekroczył istotne tabu francuskiej polityki swoich czasów, nominując czterech komunistycznych ministrów, prowadzi w pierwszej fazie swojej prezydentury twardą antysowiecką politykę. Widać to doskonale bo jego twardej postawie w czasie tzw. kryzysu eurorakiet. Utrzymuje też znakomite relacje z Margaret Thatcher i Ronaldem Reaganem, wspiera Anglię w czasie

wojny o Falklandy, zacieśnia sojusz ze Stanami Zjednoczonymi, z prezydentem Bushem seniorem weźmie udział w pierwszej wojnie w Zatoce Perskiej.

Kolejna cecha wyróżnikowa to suwerenizm: unikanie podporządkowania się jakimkolwiek mocarstwom. „Król jest cesarzem w swoim kraju”, mawiano. Oznacza to także unikanie podporządkowania się szerszym sojuszom i blokom, zachowanie w każdej sytuacji autonomii strategicznej. To polityka *grandeur*, co najprościej przetłumaczyć na język polski jako polityka wielkości, choć to słowo jest bardziej wieloznaczne, można to też przełożyć jako rozmach, ambicję, prestiż, splendor. Jest to wezwanie do szukania w polityce wielkości, chwały, to świadomość, że poprzez politykę kontynuuje się historię Francji. Wreszcie: gotowość do używania instrumentu wojskowego. Po 1945 roku Francja pośrednio lub bezpośrednio wzięła udział w stu konfliktach zbrojnych. To jest cecha absolutnie wyróżniająca ją na tle reszty Europy, która przestała wojować na taką skalę.

A w polityce wewnętrznej?

Jeżeli chodzi o politykę wewnętrzną, to nawet nieuważny obserwator powinien dostrzec, że Francja pozostaje monarchią republikańską, swego rodzaju monarchią elekcyjną. Wystarczy zobaczyć prezydenta w otoczeniu żołnierzy Gwardii Republikańskiej, czy jego dwór, który sprawia, że we Francji mamy do czynienia z tym, co nazywam elizjologią – *per analogiam* z kremlinologią. We Francji często nie to, jakie ktoś formalnie piastuje urzędy, określa jego zakres władzy, ale to, jak blisko jest prezydenta. Inauguracja prezydencka jest de facto

koronacją, tylko bez korony. Jest za to salwa 21 dział armatnich. Nie bez znaczenia jest zresztą fakt, że prezydent Francji jest także monarchą w sensie dosłownym, jako współksiążę Andory, oraz kanonikiem laterańskim, dziedzicząc przywileje dawnych królów Francji, uznawanych za zewnętrznych biskupów Kościoła katolickiego. I nie są to tylko puste tytuły – Francja w dalszym ciągu strzeże miejsc kultu chrześcijańskiego w Ziemi Świętej, na czele z kościołem Pater Noster, gdzie Chrystus nauczał modlitwy Pańskiej, czy Kościołem Świętej Anny postawionym w miejscu, gdzie miała przyjść na świat Jego Matka. Wszędzie tam powiewa francuska flaga i każdy z tych budynków znajduje się pod opieką Konsulatu generalnego Francji w Jerozolimie.

Wreszcie – za czasów Piątej Republiki po części przywrócono właściwą dla Dawnego Reżimu nomenklaturę. Dawniej na czele rządu stał Prezes Rady Ministrów, obecnie na czele rządu stoi *premier ministre*, pierwszy minister. Stąd wynikają czasem pewne nieporozumienia, nazwijmy to, kulturowe: kiedy jedna z francuskich gazet opisywała wizytę Andrzeja Dudy i Donalda Tuska w Waszyngtonie, podpis pod zdjęciem głosił właśnie: „Prezydent Andrzej Duda i jego pierwszy minister Donald Tusk”. Ta synteza – Francji monarchicznej i Francji republikańskiej – ma przełożenie na wielu, zaryzykowałbym nawet, że na wszystkich polach polityki francuskiej. I to długie trwanie jest zupełnie naturalne. Kogo cytował Danton, gdy uzasadniał, że Francja powinna oprzeć swoje „granice naturalne” o Ren i Pireneje? Komu jakobini podebrali hasło „ocalenia publicznego”? Oczywiście kardynałowi Richelieu.

Czy jest jednak jakiś nurt przeciwny dziedzictwu Richelieu?

Oczywiście. W polityce zagranicznej możemy wyróżnić chociażby neokonserwatystów, czasami złośliwie nazywanych ultraatlantystami – jako analogia z ultramontanizmem, bo jednak Francuz, choćby był ateistą, i tak na dnie swej duszy jest poddanym Ludwika XIV i myśli po katolicku – ultramontanie, przypomnijmy, którzy uznawali ponad wszystko zwierzchnictwo papieża i uważali, że Kościołem rządzi się z Rzymu, nie z Wersalu. Ultraatlantyści to więc ci, którzy szukają odpowiedzi i wskazówek i kierunków polityki za Atlantyką, czyli w Stanach Zjednoczonych. Nicolas Sarkozy był często podawany jako przykład takiego polityka. Powiedział na przykład, że gdyby on był prezydentem w 2003 roku, Francja pojechałaby na wojnę iracką.

W zakresie polityki wewnętrznej ta opozycja była dużo silniejsza, co zrozumiałe, skoro jedną z podstaw polityki Richelieu była bezwzględna centralizacja. W tamtych czasach opozycja reprezentowała interesy arystokracji, przede wszystkim tych wielkich feudałów, którzy uważali, że to oni są Francją, a król to tylko „książę Paryża”. Paradoksalnie, później tę obsesję centralizacyjną podejmą republikanie, podczas gdy monarchiści będą ją krytykować. Bliżej współczesności mamy silną tradycję republikańską, która ponad wszystko boi się silnej władzy wykonawczej, której przeciwstawia wzorowaną na modelu brytyjskim suwerenność parlamentu. Nadzieje na nadrzędność władzy ustawodawczej upadły jednak wraz z powstaniem i ugruntowaniem się Piątej Republiki.

Jak to możliwe, że mimo tak wielu przewrotów w życiu politycznym Francji utrzymuje się długie trwanie tych idei? Czy to kwestia mentalności francuskiej?

To pytanie wiąże się z innym: jak to się właściwie stało, że rewolucja wygrała z restauracją, że republika wygrała z monarchią? Było to w zasadzie zwycięstwo na punkty, a nie przez nokaut. Przez większość XIX wieku trwała walka rewolucji z restauracją w rytm kolejnych zrywów rewolucyjnych: rok 1830, potem 1848, 1870 – by wymienić tylko te najważniejsze – ale w istocie rzeczy dopiero u progu XX wieku *la France profonde* definitywnie godzi się z ustrojem republikańskim i uznaje go za własny. Do restauracji monarchii w latach 70. XIX wieku nie dochodzi wyłącznie z uwagi na spory w obozie rojalistycznym pomiędzy zwolennikami legitymizmu i orleanizmu. Nie mniej ważny był również fakt, że to Republika zdławiła Komunę Paryską. Republikanie okazali się bardziej bezwzględni w rozprawianiu się z rewolucjonistami niż królowie. Jak powiedział Louis Adolphe Thiers, republika będzie konserwatywna albo nie będzie jej wcale. Swoje zrobił też papież Leon XIII, dając katolikom prawo i możliwość do *ralliement*, czyli przystania do Republiki, znosząc raz na zawsze sprzeczność pomiędzy tym, co katolickie i tym, co republikańskie. Można być republikaninem i katolikiem jednocześnie. Republikę opromieniło też zwycięstwo w pierwszej wojnie światowej.

Nie da się wreszcie abstrahować od całej pedagogiki, z którą mamy do czynienia co najmniej od czasu III Republiki, która głosi ni mniej, ni więcej, że rewolucja stanowi nie zerwanie, ale dopełnienie całej historii Francji. Że wszystkie te tendencje, które składają się na Republikę Francuską, istniały już wcześniej, ale trzeba było lokomotywy historii, żeby wszystko to dojechało do stacji. Dla przykładu państwo narodowe to w tym ujęciu idea, której pierwsze przejawy widzimy już u Filipa Augusta i Filipa Pięknego. Świeckość państwa jest niczym innym, jak twórczym rozwinięciem doktryny gallikańskiej i praktyki *de facto* nadrzędności władzy świeckiej nad duchowną w dawnej Francji

monarchistycznej. Przekonanie, że państwem powinna rządzić silna technokracja, najlepiej z awansu społecznego, to pomysł nieobcy Walezjuszom, a z wielką determinacją wdrażany przez Burbonów. Była już mowa o naturalnych granicach państwa. Jest to więc jak gdyby długi proces dziejowy, który zaczyna się w 1789 roku, a kończy się dopiero w 1958, wraz z nastaniem Piątej Republiki, kiedy forma republikańska przybiera swój ostateczny kształt, kiedy teza i antyteza wreszcie łączą się w wyższą syntezę. Można powiedzieć nieco przewrotnie, że o ile monarchia potrzebowała całych stuleci, żeby wypracować swoje reguły od Faramunda do Ludwika XIV, to na tym tle Republika uwinęła się relatywnie szybko. Nie był to, oczywiście, proces bezbolesny.

Jak radzą sobie współcześni Francuzi z czarnymi kartami historii z czasów potęgi Francji Burbonów? Mam na myśli dziedzictwo kolonializmu czy niewolnictwo, ale także kontrowersje dotyczące samych metod uprawiania polityki, których symbolem jest Richelieu: jego podejścia do Kościoła, do władzy absolutnej, do stosowania terroru w umacnianiu władzy...

Jest taka ładna figura retoryczna w jednej z książek Érika Zemmoura, zresztą w rozdziale poświęconym właśnie kardynałowi Richelieu, w którym kreśli on paralelę polsko-francuską. Pisze o Polsce jako o siostrze Francji, odwołując się oczywiście do Chateaubrianda, który mówił o Polakach jako „Francuzach Północy”. Pisze o Polsce jako wiecznym francuskim wyrzucie sumienia – ach, dlaczego nie dało się zrobić dla niej więcej? Ale pisze też, że Polska to Francja, w której zwyciężyła Fronda, Richelieu przegrał ze spiskiem Cinq-Marsa, a kościołem rządzi się z Rzymu, a nie z Wersalu. Polska to siostra, która poszła na zatracenie, bo ponad wszystko chciała być wolna i nie była w tej wolności gotowa na jakikolwiek kompromis. Nawet na kompromis z

rzeczywistością. Kończy swój wywód słowami, że dziś role się odwróciły. Dzisiaj Polska, nauczona twardym doświadczeniem zaborów, okupacji, dwóch totalitaryzmów i utraty suwerenności narodowej w okresie zimnej wojny realizuje politykę bliższą kardynałowi. Pilnuje zazdrośnie kompetencji państwa narodowego, ma poczucie tragizmu historii. Tymczasem Francja, a już na pewno jej klasa dyskutująca, jego zdaniem tej twardej nauce nie jest wierna. I teraz to Francja ryzykuje to, że pójdzie w zatracenie.

Przeczytaj również: Tomasz Stefanek – Być albo nie być

Wracając jednak do pana pytania. W kwestii samego Richelieu i jego dziedzictwa są we Francji, oczywiście bardzo to upraszczając, dwie szkoły. Jest szkoła tradycyjna – i tu ma zresztą niewielkie znaczenie, czy ktoś wywodzi argumenty, o których zaraz będę mówił, ze źródeł konserwatywnych i rojalistycznych, czy ze źródeł rewolucyjnych i republikańskich, ponieważ to, co łączy obydwie te nurty, to ich głębokie przeświadczenie o nadrzędności konsyderacji i narodowych. W tej optyce kardynał to ów heros na obrazie Henri-Paula Motte'a przedstawiającym oblężenie La Rochelle w 1628 roku. To bardzo sławny obraz, sławniejszy zapewne od jego twórcy, gdzie widzimy Richelieu jako pół-rycerza, pół-duchownego, w szkarłatnym płaszczu narzuconym na zbroję. Jest to więc figura człowieka, który żelazną ręką buduje nowoczesne państwo i jego potęgę, kładzie kres sobiepaństwu feudałów, niszczy państwo w państwie hugenotów, tworzy silną armię i flotę, patronuje rozwojowi nauki i kultury, daje początek nowoczesnej administracji i tym samym temu, co do dzisiaj będziemy silnie kojarzyli z Francją: techno- i merytokracji, której korzenie sięgają dawnego

ustroju i wszystkich mieszczan, których Burbonowie rekrutowali do administrowania państwem ponad głowami butnych i buntowniczych arystokratów.

Czy nie sprzyjało to powstaniu francuskiego odpowiednika zasady „dobry car, źli bojarzy”?

Poniekąd tak! François Furet zwrócił uwagę, że cechą burbońskiej monarchii jest bezpośredni związek króla z ludem. To on właśnie dokładnie przeanalizował broszury, które powstawały w przededniu rewolucji francuskiej i na samym jej początku. W tych broszurach z zadziwiającą regularnością powraca myśl, że lud patrzy w stronę króla jako ojca i protektora, który jest zarazem wyrazicielem woli ludu. Co prawda, inkorporując myśl oświeceniową i myśl zaimportowaną z Ameryki, mówi się przy tym także, że źródłem władzy i suwerenności króla jest przyzwolenie ludu. Kto jest problemem w takim razie? Otóż ci, którzy są pomiędzy ludem a królem: ministrowie, parlamenty, ciała pośredniczące, a więc to, co tak bardzo podziwiają Anglosasi. Tu jest to przedstawiane jako przyczyna wszelkich nieszczęść. Co trzeba zrobić? Odsunąć na bok owych uzurpatorów i przywrócić normalną relację króla z ludem. Dlaczego to przypominam? Bo to jest dokładnie wizja Piątej Republiki: prezydent jako monarcha elekcyjny, który dzierży najwyższą władzę i który jest w bezpośredniej komunikacji, niemal mistycznej, z ludem. Szef państwa może, ba powinien, obejść parlament, rozpisując referendum, może rozpędzić Zgromadzenie Narodowe wedle swojego uznania jako jedyny ma prawo wskazywać premiera, trzyma palec na przycisku atomowym, a w razie zagrożenia państwa może zgodnie z konstytucją przyjąć czasowo uprawnienia dyktatorskie. Na parlament zaś patrzy się nieufnie, trzeba go ograniczać, powściągać, „racjonalizować” jego prace. Francja jest

jednym z niewielu krajów na świecie, w którym to, co może być przedmiotem ustawy, jest enumeratywnie wymienione w ustawie zasadniczej. Wszystko, co nie jest w ten sposób wymienione, jest już kompetencją władzy wykonawczej, która od tego ma dekry, rozporządzenia i ordonanse, żeby rządzić. Kiedy mówimy o długim trwaniu, kluczową sprawą jest właśnie mistyczna więź głowy państwa z jego obywatelami.

Czy w ostatnich latach nie mamy do czynienia z rewizją tych wzorców? Zarówno w polityce, jak i w dyskursie metapolitycznym?

We Francji na pewno trwa bardzo żywa dyskusja wokół ekspansji myśli anglosaskiej i anglosaskiej wrażliwości w środowiskach klasy dyskutującej. Doskonałym tego przykładem czy odblaskiem jest debata na temat kolonializmu, którą Pan przywołał. Tradycyjne pytanie w debacie francuskiej brzmiałoby raczej tak: czy Imperium więcej zbudowało, czy zniszczyło? Odpowiedź na tak postawione pytanie będzie oczywiście zależna od czasu i miejsca. Inne jest wspomnienie francuskich rządów w Maroku, inne w Algierii – lepsze w Laosie, gorsze w Wietnamie. Nikt nie neguje, że dławienie powstań kolonialnych pochłonęło setki tysięcy ofiar w Algierii i dziesiątki tysięcy na Madagaskarze, że miały tam miejsce masowe egzekucje, tortury, zniknięcia, palenie całych wiosek, przesiedlanie całych okolic, a nawet pogromy czy okropne represje, w rodzaju chowania ludzi żywcem. Cała ta groza, którą znamy z *Jądra ciemności* Josepha Conrada jest tu obecna. Ale nie da się też zaprzeczyć, że z pewnością osiągnięciem było zniesienie niewolnictwa w koloniach: najpierw na krótko, w 1794 roku, bo przywrócił je później Napoleon, ale później definitywnie po 1848 roku. Sam handel niewolnikami zniesiono wcześniej, bo w 1815 roku. Pamiętajmy, że wszystkie cywilizacje znały niewolnictwo. Znał je

Mieszko i znał je Montezuma, znał je Cezar i znał je Mahomet. Ale to cywilizacja Zachodu jako pierwsza podjęła z nim aktywną i skuteczną walkę. Niewolnictwo w rękach Arabów na przykład też realizowało się na skalę masową i też było brutalne, choć w inny sposób: cechowało je masowe branie w niewolę młodych kobiet i kastrowanie eunuchów, a więc zjawiska, których nie było w przypadku niewolnictwa kolonialnych mocarstw zachodnich. Dalej należałoby powiedzieć, że od 1793 w kolejnych francuskich parlamentach będą zasiadać ludzie pochodzący z kolonii takich jak Senegal czy Martynika.

Możemy tłumaczyć atrakcyjność języka francuskiego hegemonią kulturową, i oczywiście jest w tym dużo prawdy. Ale dlaczego tak lirycznie pisał o nim wielki afrykański intelektualista i polityk Léopold Sédar Senghor? Skąd się wziął ruch Négritude i jego hasło „myśleć po afrykańsku, pisać po francusku”? Hồ Chí Minh, przywódca komunistycznego ruchu narodowo-wyzwoleńczego w Indochinach za młodu pisze esej na temat tego, że należy strzec język francuski przed naleciałościami z angielskiego. Nie dałoby się też wytłumaczyć masowego udziału żołnierza kolonialnego w wyzwolaniu Francji w czasie II wojny światowej. To imperium zrobiło całą różnicę między byciem krajem wyzwolonym a byciem współzwycięzcą. Generał de Gaulle, jak przybył do Czadu w 1940 roku, mógł powiedzieć, że „postawił wreszcie stopę na ziemi francuskiej”. Miał 13 mln kilometrów kwadratowych ziemi, którą zarządzał z Algieru i miał swoją armię.

Inny spór to uniwersalizm kontra multikulturalizm, tożsamość „republikańska” kontra *identity politics*. Jeżeli model anglosaski multikulturalizmu miałby zatriumfować, to francuski uniwersalizm republikański przestaje istnieć. Wyklucza się z nim przekonanie o tym, że istnieje coś jak wola powszechna, że kluczowe jest pojęcie

obywatelstwa i narodu politycznego, że Francja musi zachować swoją autonomię kulturową. Może ona być społeczeństwem wielorasowym, ale nie wielokulturowym. Albo uniwersalistyczna tożsamość francuska, albo mikrotożsamości. *Tertium non datur*. Doświadczenie francuskie po prostu skrajnie nie pasuje do anglo-amerykańskiego modelu *diversity and inclusion*. Emmanuel Macron na początku swej prezydentury powiedział, że nie ma kultury francuskiej, są tylko różne kultury we Francji. W tym roku powiedział: „w naszym kraju jest jeden język, jedna kultura, jeden naród”. Daleka droga. Ale wracając do kardynała Richelieu: są oczywiście nurty wśród francuskich historyków, które reprezentują silny rewizjonizm. Na przykład zdobycie La Rochelle, wyrwanie miasta portu z rąk protestantów i pobicie tam Anglików jest tradycyjnie traktowane jako wielki sukces kardynała. Udało się zlikwidować dzięki temu protestanckie państwo w państwie, które jest wiecznym zarzewiem buntu i które stanowi śmiertelne zagrożenie w sytuacji wojny z całą Europą, szczególnie otaczającymi Francję Habsburgami. Ów port to były także uchylone drzwi, przez które mogła wcisnąć się do Francji Anglia, gdyby przypomniawszy sobie o roszczeniach do ziemi, które w angielskich oczach były ojczyzną angielskiej elity państwowej. Richelieu, co ciekawe, nie miał problemu z tym, żeby protestanci wyznawali nie niepokojeni swoją religią, ale pod warunkiem, że stracą wpływy polityczne. Dziś jest to skrajnie polityczne niepoprawne, bo wartością nadrzędną ma być wolność jednostki. Dlaczego mniejszość nie miałaby mieć praw politycznych, zakładać partii, koterii i tak dalej? Takie głosy faktycznie pojawiają się czasem wśród historyków. W popularnej „Historii światowej Francji” można na przykład spotkać się z taką opinią, że Joanna d'Arc zrobiła błąd, wyrzucając Anglików z Francji. Przecież gdyby oni tu zostali, to założylibyśmy swego rodzaju Unię Europejską sześć wieków wcześniej; poza tym sama Dziewica Orleańska miała być postacią bez znaczenia, a jej kult jako bohaterski narodowej ma być mistyfikacją, ledwie wynikiem „polityki historycznej III Republiki”. Mało tego, aby nie

rozbudzać islamofobii, bitwa pod Poitiers staje zredukowana do pozbawionej znaczenia „potyczki”. Naturalnie świątłych muzułmanów kontrastuje się tam z barbarzyńskimi Frankami. Najważniejszym wydarzeniem roku 1917 wydaje się autorom... bunt kolonialny na Nowej Kaledonii. Można tak długo, ale znać już, że autorzy dobrze przyswoili sobie katechizm kompleksu aktywistyczno-korporacyjnego: ma być kosmpolitycznie, inkluzywnie, poprawnie. W tej opowieści nie odnajdzie się ani człowiek wychowany na „Francji czterdziestu królów”, ani na jakobińskim patriotyzmie żołnierzy roku II. Mówiłem wcześniej o syntezie; to jest dekonstrukcja. Tymczasem, jak pięknie pisał historyk Marc Bloch, „są dwa rodzaje ludzi, którzy nigdy nie zrozumieją historii Francji: ci, którzy nic nie czują na myśl o koronacji królewskiej w Reims i ci, którzy czytają bez emocji opis rewolucyjnego Święta Federacji”.

Z Marcinem Giełzakiem rozmawiał Ignacy Karłowicz

**Wszystkie artykuły z Teologii Politycznej Co Tydzień [493]:
„Richelieu. Ontologia(e) państwa nowożytnego”**

**Wszystkie artykuły z „Teologii Politycznej Co Tydzień”
[509]: „2025. Najlepsze”**

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
